

AB: Rok 1984, miejsce: biblioteka Senate House Uniwersytetu Londyńskiego, IV piętro, Periodicals Reading Room. Przeglądałem katalog, kiedy zauważyłem, że stojący niedaleko młody człowiek, mniej więcej w moim wieku, spogląda w moim kierunku. Żaden z nas nie pasował wizualnie do obrazu typowego polskiego adiunkta z początku lat osiemdziesiątych – ja przez to, że nie ściałem włosów po okresie kontrkultury lat sześćdziesiątych i nie nauczyłem się small talku, Jurek przez typowo anglosaski, nienarzucający się sposób sygnalizowania zainteresowania. Nie pamiętałem, że już się kiedyś spotkaliśmy – na jakiejś krajowej konferencji, jak później przypomniał Jurek. Zaskoczył mnie więc, kiedy podszedł i spytał po polsku, czy dalej zajmuję się utopią.

– Kończę selekcję robinsonad.

– To dobrze – powiedział. – Miałem nadzieję, że nie zmienisz zainteresowań na coś modnego. Ja też zostaję przy renesansie, nie zamierzam uganiać się na poważnie za nowomową.

Dopiero po tych słowach uświadomiłem sobie, z kim rozmawiam. Odtworzyłem słowa pani Kurtyny z British Council:

– W tym samym czasie, co pan, będzie na stypendium w Londynie taki doktor z Poznania, geniusz i na dodatek pisarz.

Jak to się stało, że w chwilę po tej pierwszej wymianie zdań Jurek opowiedział mi o turbulencjach w życiu prywatnym, a w dwie godziny później wiedzieliśmy o sobie więcej, niż się wie o innych ludziach po wielu latach przyjaźni, można byłoby zapewne tłumaczyć specyficznym kontekstem. Stypendium British Council pozwalało na pewną ekscentryczność. W Anglii, poza British Library, czas spędzaliśmy głównie, choć nie tylko, w środowiskach bohemy: Jurek zgłębiał życie teatralne, interesując się scenicznymi i pozascenicznymi działaniami aktorów i reżyserów, ja przygotowywałem programy muzyczne, nagrywając po koncertach wywiady z rockmenami. Być może te nasze „inne”, nieakademickie zainteresowania wyeliminowały small talk w punkcie wyjścia. W Londynie podczas stypendium przegadaliśmy z Jurkiem wiele godzin, spotykając się w przerwach na lunch w uniwersyteckiej kantynie lub pubie. Nasze nietypowe znajomości w kręgach angielskiej arystokracji oraz starej i powojennej polskiej emigracji generowały po obu stronach setki dykteryjek. O tym, co robimy każdego kolejnego dnia w bibliotece rozmawiać nie musieliśmy. Poza kilkoma

dłuższymi debatami dotyczącymi tematów naszych ówczesnych studiów, nie marnowaliśmy czasu na szczegółowe sprawozdania: jeden rzut oka na kolejno wydobywane z archiwum materiały wystarczył, żeby ocenić, jak bardzo „przestarzałą literaturą” (jak to kuriozalnie określił jeden z ubiegłorocznych recenzentów NPRH) obaj się zajmujemy. Między tamtym pobytem w Londynie a moim przeniesieniem się z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie na Uniwersytet Gdański w 2008 minęło ponad 20 lat. Nie spotykaliśmy się z Jurkiem na zagranicznych sympozjach, ponieważ funkcjonowaliśmy w różnych międzynarodowych, stosunkowo zamkniętych kręgach badaczy. Tylko przelotnie widywaliśmy się na krajowych konferencjach. Ale obaj doskonale wiedzieliśmy, co publikujemy. Jurek miał w zwyczaju wysyłać mi swoje książki i powieści. Zaprosił mnie też do współpracy przy tomie *Shakespeare and His Contemporaries* (1993), który redagował ze światowej sławy szekspirologiem Jay L. Halio. W latach osiemdziesiątych i początkach lat dziewięćdziesiątych publikowanie książek w wydawnictwach typu Cambridge University Press czy Delaware University Press było, nie tylko w Polsce, wystarczającym miernikiem geniuszu, z którym Jurek obnosił się wyjątkowo ostrożnie, traktując go jakby z lekkim niedowierzaniem. Od 2008 roku, kiedy zaczęliśmy z Miłą pracować na UG, nasze kontakty przeniosły się ponownie na grunt towarzyski. Jurek okazał się nadzwyczajnym przewodnikiem po trójmiejskich miejscach niezwykłych i trudno dostępnych. Zabierał nas też czasami dalej, w zakątki tak fascynujące, jak choćby pensjonat Kania Lodge prowadzony przez Johna Borrella, autora *The White Lake: Fighting for a Free Press, Justice and a Place to Call Home in the New Poland*. Z Johnem, byłym korespondentem wojennym pracującym przez kilkadziesiąt lat dla *Time* i *The Australian*, łączyło Jurka na pewno jedno – obaj przetrwali spisek biurokratów przeciwko twórcom miejsc wyjątkowych. Jak tylko idea budowy Teatru weszła w ostatnią fazę walki z biurokracją, spytałem Jurka, czy oglądał *Fitzcarraldo* Wernera Herzoga. Okazało się, że nie znał filmów Herzoga i nigdy nie widział w akcji Briana Sweeney Fitzgeralda, fascynata muzyki operowej, który wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, przetoczył statek z koryta jednej rzeki do drugiej, bo umyślił sobie postawić operę w środku dżungli amazońskiej. DVD z *Fitzcarraldo* Jurek otrzymał ode mnie po wmurowaniu kamienia węgielnego pod GTS (2011) czyli po spektaklu, którego podniosłość zrównoważył, jak to miał w zwyczaju, „torebką krówek dla pana premiera”. Po mniej więcej miesiącu zadzwonił do mnie w przerwie między zajęciami.

– Obejrzałem film – powiedział – Film bardzo dobry. Tylko ten bohater mnie trochę martwi. On jakiś... szalony.

Jurek perfekcyjnie obrazował przysłowie podpowiadające, w jakich sytuacjach poznaje się prawdziwych przyjaciół. Jeszcze nie tak dawno miałem okazję przekonać się, jak przypadek, który sprawił, że obaj znaleźliśmy się w tym samym, Orwellovskim miejscu i czasie, przełożył się wiele lat później na scenariusz z diametralnie różnym zakończeniem.

*LGB:* Paradoksalnie, Jerzy Limon nie deifikował ludzi, których jedyną deklarowaną pasją życiową była nauka i którzy dodatkowo uważali, że jest to najlepszy powód do zadęcia. Cenił erudycję, ale nie cenił zamykania się w wieży z kości słoniowej. W rok czy dwa po naszej przeprowadzce do Gdańska, po zakończeniu jakiejś konferencji na UG, Jurek zasugerował spotkanie w Sopocie w jednym z miejsc, których jeszcze nie znaleźliśmy. Grupa, która zebrała się wówczas na kolacji składała się – jak pamiętam – wyłącznie z akademików, co było już samo w sobie nietypowe. W niecałe dwie godziny później, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Jurek zaproponował wszystkim, by przenieść się do klubu Alicji Grucy i Roberta Florczaka na ciąg dalszy wieczoru.

– Będzie interesująco, będą pierogi i herbata w dużych kubkach – zapowiedział. – Idziecie? – spytał, pochylając się w naszą stronę.

– Oczywiście! – odpowiedzieliśmy. Niezapomniany wieczór w Sfinksie spędziliśmy z Jurkiem, Justyną, gronem artystów i ich artyzujących znajomych, którzy debatowali w klubie na temat nowego projektu. Nasi koledzy i koleżanki z akademii nie zdecydowali się nam towarzyszyć.

– Widzieliście, jak się wszyscy rozpierzchli? Uczeni nie lubią mieszać się z artystami – powiedział ze smutkiem Jurek po drodze do klubu.

Tego wieczoru przypominałam sobie pierwszą wymianę zdań z Jurkiem. Ówczesny rektor, Andrzej Ceynowa, zorganizował w swoim domu przyjęcie, żeby przedstawić nam anglistów / nas anglistom. W kilkanaście minut po rozpoczęciu spotkania Profesor Limon zagadnął mnie z uśmiechem:

– Pani zajmuje się postmodernistami?

– Tak, od jakiegoś czasu.

– Bawi panią literaturoznawstwo?

– Zdecydowanie tak.

– To dobrze, to się polubimy.

Kiedy podszedł do nas Artur, Jurek uprzedził jego pytanie, mówiąc z uśmiechem:

– Już się poznaliśmy. Zdażyliśmy nawet ustalić punkty wspólne i przejść na ‘ty’. Doskonale wiem, jak poważnie Jurek traktował badania nad literaturą i jak zdecydowanie, acz z wdziękiem, ignorował miałkość i błyskotliwe nowinki. Był badaczem, jakich światowa akademia naszych czasów ceniła najbardziej (czas przeszły zamierzony). Ale był też twórcą Teatru-jakiego-nie było oraz autorem *Münchhauseniady*, *Wieloryba*, *Młota na poetów* i in., a to oznaczało, że gdzieś na styku jednego, drugiego i trzeciego była taka czasoprzestrzeń, w której zabawa brała górę nad grą („I tak połączyłem trzy przedmioty: łyżkę, kość i list, w naszkicowaną tu ledwie kompozycję ...” *Młot na poetów*), i gdzie powagę naukowca światowej klasy oraz dyrektora GTS przesłaniała mina Ariela uwolnionego na dobre z okowów biurokratycznego Prospera, podsyłającego kolejne nudne formularze do wypełnienia. Każdy wieczór w domu Jurka i Justyny Limonów, aranżowany przez Gospodarzy tak, by nie odtwarzać zbyt wiernie poprzedniej listy gości, atmosfery, typu rozmów oraz menu, był jak prześwietny spektakl teatralny – niepowtarzalny i nie do powtórzenia. Spotkania te uświadamiały, z iloma ludźmi łączyła Jurka nić porozumienia. „Pajęcza nić”, powiedziałby Autor *Młota na poetów*, każda z nich inna, tkana tak, by w sumie stanowić subtelny wzór widoczny dla tych, którzy wpatrują się (zbyt?) uważnie. Kotka Gnacik („Smukła, nie chuda. Prawdziwa dama...” – przekonywał Jurek) była do pewnego momentu ważną aktorką w tej misternej kreacji towarzyskich kręgów. Kiedy jej zabrakło, wspomnienie o niej stało się nieodzowną częścią wieczoru. Przyjaźni, w które Jurek wierzył, nie zaniedbywał przez zwykłe zaniechanie lub brak czasu. Potwierdzą to wszyscy, do których dzwonił na pogawędkę lub wyciągał na szybki lunch w najbardziej dla siebie „gorącym” okresie. Przez lata, z rosnącym zdumieniem, uczestniczyliśmy w wielkich Szekspirowskich akcjach Jurka. Balet buldożerów – kto zamknięty we własnym gabinecie odważyłby się zaakceptować tak genialnie niezborną koncepcję, zgodnie z którą buldożery pracują, łysa śpiewaczka/śpiewak szybuje w powietrzu, podświetlony kontrabas i gitara basowa zagłuszają szczepek łopat, a widzowie toną w błocie? Idea wszechogarniającego Teatru przewyższała wszystko, co w polskiej kulturze wymyślono. Zanim powstał Gdański Teatr Szekspirowski wychowane zostało całe pokolenie, dla którego Festiwal był jak druga Gwiazdka. Nawet jeśli ktoś spędzał tę Gwiazdkę nocy letniej we własnym domu, w odosobnieniu, to i tak czuł się tak sobie, wiedząc, że pozostali świętują ją razem.

– Jutro lecę – informował Jurek tak często, że informacją stawał się raczej Jego dłuższy pobyt na miejscu. Dość szybko przestaliśmy zadawać mu pytanie, czy wyjeżdża na konferencję czy „na wakacje”. Wiadomo było, że jako „osoba postkonferencyjna” – tak się określał – unika głośzenia referatów, a o tzw. prawdziwych wakacjach Jurek i Artur mieli to samo zdanie („Run!” – mówił Artur, a Jurek mu energicznie przytakiwał). O każdym premierowym przedstawieniu opowiadał po powrocie ze szczegółami, starannie przy tym unikając sądów ocennych. Na nasze pytanie:

– I co? Spektakl dobry?

– Sami zobaczycie – odpowiadał.

– A zaprosisz ich? – padało kolejne, mniej bezpośrednie pytanie z naszej strony.

– Już ich zaprosiłem.

Przyglądając się temu, co Jerzy Limon robił niemal paralelnie, przez wszystkie lata, kiedy mieliśmy okazję go obserwować, można było nabrać podejrzeń, że Jurek ma dublerów. Jego nietypowe godziny pisania (od 4.00 nad ranem?), szukanie po archiwach materiałów do kolejnych książek, prowadzenie Teatru, coroczny Festiwal Szekspirowski i konferencje z udziałem akademickich gwiazd z całego świata, które trzeba było odpowiednio podjąć, towarzyszenie prywatnym i oficjalnym gościom Teatru, oprowadzanie brytyjskiej rodziny królewskiej i ważnych postaci życia politycznego i kulturalnego po budynku GTS – jedynym w swoim rodzaju i nieustająco kontrowersyjnym, udzielanie wywiadów i pozowanie do zdjęć (czego nie znośli), podróże w najdalsze zakątki Europy i świata na spektakle Szekspirowskie, wyczerpująca walka o wymarzony kierunek studiów, który stworzył i wypromował, wykłady, regularne uczestniczenie w Radach Wydziału, komentowanie na bieżąco życia uniwersyteckiego, podtrzymywanie relacji z instytucjami sponsorującymi działalność GTS, telefony do przyjaciół z relacjami z życia na bieżąco, i w końcu życie rodzinne, od którego należałoby rozpocząć tę (niepełną) listę, bo ono było dla niego sensem niezastępowalnym.

– Niemożliwe – myślałam – żeby bez dublerów Jurek mógł być w tylu miejscach jednocześnie i w każdym z nich promieniować tak niepokojąco niewyczerpywalną energią.

Ale dublerów, niestety, nie było. I nie będzie.